ROZMAITOŚCI.

Dnia 29. Lipca | N:er 30. | Roku 1843.

WALKA

BYKÓW W MADRYCIE

PRZY KOŃCU XVI. WIEKU.

Przez austryjacką damę opisana.

Gdy król rozkaże wyprawić walkę byków (*corrida de toros*), zapędzają kilka krów, zwanych *Mandarinas*, w góry Andaluzyi, a szczególnie w pasma Sierry Moreny. Tu przechowują się najdziksze byki, które nigdy stajni nie znały; tych więc wyszukiwać i zwabiać wyuczone są krowy; za niémi puszczają się dzikie byki wązką, z obu stron mocnémi palisadami obwarowaną drogą, i dają się częstokroć na dwadzieścia do trzydzieści *leguas* prowadzić przez góry, lasy, doły, moczary i rzéki aż do miejsca, gdzie się ma wyprawić widowisko. Skoro już byki raz weszli w tę upalisadowaną ulicę, poganiacze uzbrojeni krótkiémi spisami gonią je z pośpiechem naprzód, aby się żaden nie zdołał obrócić, co gdy się stanie, natenczas poganiacz musi stoczyć walkę, którą nieraz życiem przepłaca. Skoro już przez umyślnie rozstawione czaty wieść ta dójdzie do Madrytu, że byki się zbliżają, natenczas od bramy, którą wejść mają, zabijają przez ulicę miasta takież pale aż do *Placa major*, gdzie zwykle jest miejsce przeznaczone do walki i gdzie na ich przyjęcie obszérne stajnie czekają. *Mandarinas* wskazują im do tych stajen drogę, a same wykradają się przez drzwi poboczne, umyślnie do tego przyrządzone, oszukanych zaś kochanków ich losowi zostawiają.

Tym sposobem ściąga się dwadzieścia do trzydzieści najdzikszych byków. Po kilkudniowym wypoczynku, wypuszczają jednego po drugim w arenę, gdzie ich natychmiast kilku silnych stajennych napada i rozpalonem żelazem piętnuje, co się rzadko kiedy bez wielkiego niebezpieczeństwa i kaléctwa udaje, a co właśnie przedsmak samej uroczystości stanowi; i dla tego téż znawcy, amatorowie i pospólstwo, w téj próbie wielki udział mają, gdyż ten lub ów byk dziką siłą, wytrwałością i śmiałością najżywszą walkę obiecujący, staje się przedmiotem zdań gorliwych stronników; przy czém jednakże nieznawca pozorem łatwo się oszukać daje, gdyż i ta rzecz ma równie jak szermierstwo, polowanie i sztuka jeżdzenia, swoje zasady. Nawet ród, pochodzenie i pokrewieństwo byków, umieją znawcy poznać i zdatność ich do walki ocenić.

Po ukończonych przygotowaniach, wybiérają co najdziksze do popisu, zamykają ich w osobnych stajniach i karmią jak najlepiéj. Poczém przyrządzają *piazzę-major* — największy i najregularniejszy rynek w Europie — do widowiska. Na około wbijają mocne, na chłopa wysokie pale, ozdobione hiszpańskiémi kolory i herbem królewskim, w takiéj jeden od drugiego odległości, że tylko człowiek pomiędzy nie przecisnąć się zdoła. Kamienice plac ten otaczające, są o dwóch lub trzech piętrach, z wielą oknami i żelaznémi balkony. Z tych zwieszają z rozmaitych pstrych materyj, z aksamitu i jedwabiu utkane kobierce, na których lśnią się suto haftowane herby wysokiego duchowieństwa, wysokiéj szlachty, obcych posłów, rozmaitych wysokich urzędników, korporacyi duchownych i świeckich i t. d. i oznaczają każdego miejsce. Rozumié się, że balkon królewski w domu ratuszowym, odznacza się nad wszystkie pstrém bogactwem i okazałością kobierców, herbów i baldachinu. Baczą także i na lud, który zasiada

tłumnie wygodne i bogato ubrane rusztowanie aż piérwszego piętra sięgające. Król i miasto biorą wszystkie te koszta na siebie, a nawet znakomitszą część widzów chłodnikami uraczają, damy zaś biorą podarunki w wstęgach, wachlarzach, opaskach i t. p. co wszystko razem częstokroć przeszło sto tysięcy piastrów wynosi.

Na dniu naznaczonym (22gim kwietnia), zapełniły się balkony, rusztowania, a nawet dachy poblizkich domów niezliczoném mnóstwem ludu. Damy w klejnotach i perłach, w szatach ze złoto-głowiu; panowie podobnież jak najświetniéj od złota i śrebra ubrani, zgoła wszystko, na co spojrzeć, tak było świetne i uderzające, żem z zadziwienia nad takiém przepychem ledwie do siebie przyjść mogła. Sam tylko poseł francuzki i orszak jego wystąpił w stroju swojego narodu, inni zaś cudzoziemcy, nawet i posłowie, muszą przy téj sposobności mieć strój hiszpański.—Nim się król ukazał, uganiali się na koniach w około placu młodzi panowie z dworu i szlachty, popisując się przed damami swoją dzielnością w jeżdzeniu, pięknością rumaków i przepychem rynsztunku.

Z uderzeniem czwartéj ukazał się król, a wszystko ustąpiło z placu i oczekiwało z natężeniem na znak rozpoczęcia widowiska. Powóz króla wyprzedzało pięć do sześć ogromnych karét, zajętych przez szambelanów, paziów i t. p. Po tych, przed samym królem, szła tak zwana karéta respektowa, nadzwyczaj bogato ubrana, w któréj jednak nikt nie siedział. Woźnice i forysie z gołą głową, a lokaje obok pieszo idący, nieśli ich wielkie kapelusze. Powóz królewski otaczała gwardyja walońska i hiszpańska, potém gwardyja przyboczna i arsyjerów, nareszcie mnóstwo paziów. Ci ostatni czarno ubrani i bez szpady. Potém szedł powóz królowéj (która tym razem nie była obecną), szły powozy jéj dam, które otaczali kawalerowie z piérwszych familij, bądź pieszo, bądź konno. Piérwsi starali się rozmową ująć dla siebie przychylność dam, drudzy zaś sztuką jeżdzenia, do czego mają umyślnie do zdziwienia zręcznie wprawione konie. Ktoby się jednak ważył któréj z dam okazać jaką grzeczność bez jéj własnego lub jéj krewnych zezwolenia, tenby się naraził na wielką nieprzyjemność. Jeźli zaś to przyzwolenie pozyskał, natenczas może się śmiało oddać usługom swojéj damy. Ale i w tym razie powinien sobie ująć względy dam honorowych (*duennas*) i dam strażniczek (*guardadamas*). Piérwsze siedzą obok swoich dam, drugie jadą wiérzchem przy drzwiczkach karéty, i nie jednemu kawalerowi wydarzy się, że śród najprzyjemniejszéj, najczulszéj rozmowy, żółta, koścista ręka złośliwéj staréj *duenny*, spuści firankę pod pozorem, że wiatr lub słońce dojmuje; albo téż która z *Guardadamów* wsunie się swym koniem między ubóstwionę i adoratora z tą poważną uwagą: że najpokorniejsza miłość jest najwierniejsza gdy służy swéj damie z daleka. Natenczas biednym kawalerom nic nie pozostaje jak tylko czułe westchnienia posyłać z daleka, co téż tak doskonale umieją, że i w dobréj odległości wzdychającego usłyszeć można. Za tyle trudów i cierpień w nagrodę, może taki zakochany kawaler dostąpić prawa, stanąć przed królem z nakrytą głową, co tylko grandom jest wolno.

Gdy król zajmuje swoje miejsce, oficerowie oprowadzają gwardyję kilko-krotnie w około placu, dla ujrzenia i powitania dam, których kolory noszą, a potém ustawia się gwardyja w ścieśnionych szeregach pod balkonem królewskim. Jéj stanowisko jest ze wszech miar niebezpieczne, stojąc bowiem w środku placu otoczonym palami, narażona jest na napad wściekającego się byka. Jednak i w tym wypadku nie wolno gwardziście i kroku ustąpić, nadstawioną tylko halabardą wolno mu bronić się wedle możności. Położy który przy téj sposobności trupem byka, natenczas jest on jego własnością.—Gdy już wszystko jest przysposobione, i plac wodą zlany, aby kurz damom nie dokuczał, natenczas sześciu czarno ubranych algazylów z białémi laseczkami wjéżdzają w szranki. Nie mając żadnéj broni, ledwie małą szpadkę, i nie będąc powołanymi do czynów rycerskich, z drżącém nieraz sercem zachowują swoję uroczystą powagę i miejsce w szrankach naprzeciw balkonu królewskiego, które im przeznaczone dla utrzymania porządku w walce i wywoływania walczących. Ale jeżeli sobie

byk do nich co upatrzy i zrobi minę pójść z nimi na tuzy, natenczas powaga ich nie dotrzymuje placu, i niedowierzając swoim lekkim biegunom, śród rozlégającego się śmiéchu zgromadzonego ludu, skaczą z koni, i przeskakują co duchu przez palisady, lub wdziérają się na rusztowania. Jednak rzadko to się kiedy wydarzy, bo zwykle byki, przypatrzywszy się im parę razy, nie widząc w nich silnych zapaśników, mało się o nich troszczą. Zda się, że ich mają za cząstki należące do rusztowania lub téż za ozdóbki placu. Algazylowie muszą na to baczyć, aby się wszystko uczciwie, i według przepisów walki działo. Gdyż te walki, podobnie jak *duelo* (pojedynek), mają osobne ustawy honorowe. I tak: kawaler nie może dobyć szpady, dopokąd od byka nie jest obrażony. Obrazę stanowi, jeżeli byk rogami wytrąci kawalerowi włocznię z ręki, zedrze kapelusz lub płaszcz, albo zrani kawalera, albo konia jego, albo którego z orszaku jego. Natenczas staje się powinnością honorową (*empenno*) dla kawalera, wprost byka najeżdzać i dać mu płazem szpady raz w głowę albo szyję. Spłoszy się koń, to musi zsiąść i pieszo wywiązać się ze swego *empenno*. Wtenczas podług zwyczaju zsiadują i drudzy kawalerowie i razem z nim ruszają na byka, nie dając jednakże kawalerowi dalszéj pomocy. Na ten widok byk się zwykle przeraża, czyli raczéj zdziwia i usuwa na przeciw-ległą stronę szranek. W takim razie *empenno* bez cięcia jest wywiązane, i wszyscy kawalerowie znów na koń wsiadają. By walczyć na koniu, należy pochodzić z dawnego szlacheckiego rodu, i mieć niezachwianéj rzetelności sławę. Do téj walki zdolne i wyuczone konie, są o tym czasie w bardzo wysokiéj cenie, a niektórych i trudno się dokupić. Niesłychaną jest jednak rzeczą, aby posiadacz takiego usposobionego konia, nie pożyczył go któremu z walczących, nie będąc z nim nawet w najmniéjszych stosunkach; a jeżeli w walce koń padnie albo skaléczeje, właściciel nie przyjmie żadnéj nagrody. Chęć zysku przy téj sposobności, byłaby ujmą dla kastylskiego honoru. Walki te byków są zresztą tak dalece niebezpieczne, że na tym dniu w wielu kościołach nabożeństwo się odbywa za zbawienie dusz tych, co w walce życie postradać mogą.

Algazylowie wywołali sześciu zapaśników, którzy jednym pędem natychmiast w szranki wjechali. Konie ich były zdumiewającéj piękności, a rynsztunek nadzwyczajnego przepychu. Za każdym kawalerem wprowadziła służba w sutéj liberyi dwanaście podręcznych rumaków. Po tych szło za każdym sześć mułów objuczonych spisami na cztéry stóp długiémi, (*rejones, garochones*) ze suchéj sośniny, w różne kolory pomalowane i pozłocone. Muły przykryte były aksamitnémi czaprakami, barwy swoich kawalerów, z ich herbem bogato wyszytym. Kawalerowie ubrani byli w czarny aksamit złotem, śrébrem i żółtym jedwabiem haftowany. U kapeluszów mieli dużo białych piór z różnobarwnémi cętki i śpinkami, których kamienie biły promieniami różnobarwnéj tęczy. Szarfy były białe lub karmazynowe, niebieskie lub żółte i złotem przetkane. Są to po większéj części upominki dam, dla których sławy kawaler walczy, aby okazać, że dla jéj względów, wszelkiém gardzi niebezpieczeństwem. Po wiérzchu kurtki z buchasténi rękawy, zwieszał się czarny aksamitny płaszczyk; pół-bóciki z białéj skóry i długie, złote ostrogi z gwiazdą maurytańską. Siodło, rynsztunek i krótkie strzemiona (*a la gineta*) również na sposób maurytański. Za każdym z tych panów szedł szereg czterdziestu służalców w pstrych, dziwacznych lecz oraz bogatych strojach, składający się: z Węgrów, Turków, Maurów, Indyjanów i dzikich. Wielu z nich niosło spisy. Pod dowództwem algazylów, przeciągali przez cały plac przy odgłosie trąb i cymbałów. Przed balkonem królewskim stanęli, i po nizkim ukłonie, prosili króla o pozwolenie zwalczać byki, król im to pozwolił, życząc szczęścia i zwycięztwa, i w téjże chwili zagrzmiały trąby i kotły, a okrzyk widzów rozległ się w powietrzu: »Niech żyją waleczni rycerze! górą nasi waleczni!«

Poczém rozdzielili się; każdy pozdrowiwszy swoję damę, zajął przeznaczone miejsce. Przyboczne orszaki opuściły szranki, ze sług zostawało się tylko po dwóch, stojących za swoimi panami, by im w razie przypadku spisy podawali. Oprócz kawalerów

walczących na koniu, było także wielu walczących pieszo; są to po większéj części ludzie z niższych stanów lub wieśniacy, którzy często z dalekich przybywają strón, i bez żadnych trudności bywają do walki przypuszczeni. Zresztą jednemu się tylko z bykiem potykać wolno, drudzy stoją spokojnie, aż dopóki jednego z nich byk nie zaczepi. Piérwszy lepszy przez byka zaczepiony, kimkolwiek on jest, ma do walki piérwszeństwo.

Teraz podjechało dwóch algazylów pod balkon królewski, dla odebrania z rąk jego kluczy od zagrody, z któréj już byki dzikim rykiem swoję niecierpliwość ogłaszały. Król podał klucz swemu polubieńcowi, ten zrzucił go algazylom, którzy z widoczną trwogą zbliżyły się do bramy zamkniętych byków. Skoro się brama nagle i z łoskotem rozwarła, już i byk straszliwie rycząc wypadł zniecierpliwiony, a na jego przyjęcie śród okrzyków tłumu, ozwały się ze wszech strón trąby i kotły wraz z innémi gędziebnémi narzędziami. Byk najpiérw szukał podejrzliwie z nadstawionémi rogami, czy nié ma kogo zaczajonego za drzwiami, gdzie zwykle stoi jaki człowiek dla zamknięcia bramy, a biada mu jeżeli się piorunem w górę na drzwi nie wywinie, gdyż wtedy jest piérwszym, który ofiarą pada. Byk nie znalazłszy tym razem za drzwiami przeciwnika, rzucił się dziko na algazylów, którzy, co ich koniom tchu stało, zaczęli śród śmiéchu widzów ze strachu uciekać. Ale w téjże chwili zgraja pieszo walczących oskoczyła byka i pęd jego wstrzymała, koląc go to w bok to w kark małémi spisy i migając mu po przed oczy pstrémi chorągiewkami, co nadzwyczajnéj odwagi i zwinności wymaga. Byk w ten sposób rozdrażniony, staje się coraz bardziéj wściekléjszym, oczy mu się iskrzą, nozdrza pryskają ogniem, dzikim pędem, nito koń najlotniejszy przebiega plac na wsze strony. Nareszcie jakby zachwiany w wyborze z między tylu wrogów, staje w miejscu, ryczy przytłumiono, grzebie i bije przedniémi nogami, rzuca rogami ziemię w około siebie, otrząsa się z ostrych chorągiewek i spis utkwionych w jego cielsku, bije się ogonem, toczy krwawémi oczyma w około, aż dopóki jeden z jego przeciwników, często lada drobnostką, jego uwagi na siebie nie ściągnie, wtedy rzuca się nań z okropnym rykiem. Jeżeli to jest kawaler, na którego się rzuci, więc natychmiast przeciw niemu przypuszcza konia i przyjmuje go spisą, którę w téjże chwili, gdy on łeb w dół spuszcza, aby jeźdźca i konia ubódł rogami, wbija mu w kark albo między łopatki, i w ten sposób go wstrzymuje i od natarcia odsadza. Co nie tak siły, jak zimnéj krwi i zręczności w władaniu koniem wymaga, aby sposobną uchwycić chwilę: bo gdyby ta przeminęła, natenczas koń prawie zawsze a często i jeździec ginie. Byk rozporze brzuch i piersi koniowi i na ziemię go obali; dostanie zaś jeźdźca, więc go weźmie na rogi i wysoko w powietrze rzuci; jednakże jeździec za zwyczaj przez zwinność swoję, to się za koniem to pod koniem ukrywa, zkąd go piesi zapaśnicy drażniąc byka z wszystkich strón, od zemsty jego wybawiają. Wtedy jeździec uzyskawszy trochę czasu, dosiada drugiego konia lub jeźli ranny, opuszcza plac walki. Zadziwiająca jest wytrwałość tych szlachetnych koni co nieraz, pomimo okropnych ran, dźwigają się z ziemi, by pomódz swoim panom i wynieść ich za szranki.

Jednak żaden zapaśnik, choćby najniebezpieczniéj był raniony, bez znaku zezwolenia królewskiego, nie śmié oddalić się ze szranków. Jeżeli zaś król nie jest obecny, wtedy oczekuje ranny przyzwolenia ludu, na które nieraz długo czekać musi, jeżeli niecierpliwość lub bojaźń okazuje. Natarcie byka na jeźdźców, draźnienie jego przez lekkich zapaśników pieszych *(Chulos)*, są tylko wstępem do właściwéj walki. Jeżeli ten wstęp wedle zdania i upodobania króla i ludu, dosyć trwał długo, wtedy jeden z kawalerów lub téż jaki z innych walczących, ale zawsze musi to być mistrz w szlachetnéj sztuce zwalczania byków, wchodzi jako *matador*, by rzecz ukończyć. Sam jeden pieszo, mając w prawym ręku kordelas, a o lewe ramię czerwony płaszcz owinięty, zbliża się do wściekającego się źwiérza, i ten zwykle poznaje, że już stanowcza nadeszła chwila. A choćby jeszcze z pieszémi lub z jezdnémi dziką staczał walkę, teraz opuszcza ich nagle, i zda się przychodzić do siebie i zaczyna zbiérać siły swoje, aby się dzielnie spotkał z najgroźniejszym nieprzyjacielem. Idzie naprzeciw niego zwolna, a czasem z ociąganiem się. Co *metador* spostrzegłszy, oczekuje go z największą spokojnością, i wnosi z jego budowy, postawy sposób, chwilę i dzikość jego natarcia, i z tego układa względem niego zachowanie się swoje. W odległości dwudziestu do dwudziestu pięciu kroków, byk się zwykle zatrzymuje, i podobnież z swojéj strony zdaje się uważać przeciwnika swego. Może go téż jego instynkt przestrzega, że największém dla niego jest niebezpieczeństwem, dać się unieść dzikiemu zapędowi; bo trzymając się tylko odporno, ma widoczną korzyść za sobą. Istotnie niektóre byki okazują zamiar, wybawić się tym sposobem z kłopotu; jednak nie ujdzie to oczom *matadora,* a wtedy stara się go rozdraźnić i do dzikości pobudzić, nadstawiając mu płaszcz czerwony

i łając go najzelżywszémi słowy, właśnie jakby to miał przed sobą dwu-nożnego nieprzyjaciela. I widzowie téż ze swojéj strony starają się na różne sposoby okazać mu swoję niechęć i pogardę za taką nieśmiałość, nazywając chytrość jego bezwstydném tchórzostwem, częstokroć i *matador* oberwie przy tém niejeden przycinek. Niedługo potrwa, a wzmagająca się wściekłość źwiérza, przemoże wszelkie jego umiarkowanie. Niepokoi się coraz bardziéj, grzebie mocniéj ziemię, biczuje częściéj swoje boki ogonem, wstrząsa łbem tak dziko, że krew spieniona, wisząca mu około mordy, pryska na kroków kilkanaście, ryje piasek nogami i miota nim w około siebie, ryk jego staje się coraz głuchszym, chrypliwszym, coraz okropniejszym, a z rozdartych nozdrzy bucha para dymiąca. Poczém zbliża się, wlépia wzrok dziki w *matadora,* drząc na całém ciele z przytłumionéj złości. To się znowu odsunie, to znowu przybliży. Nakoniec usuwa się w tył na kilka kroków, łeb spuszcza zwolna aż między przednie nogi. Głębokiém, powszechném milczeniem wytężone oczekiwanie widzów okazuje, że nadszedł moment stanowczy. *Matador* trzyma lewém ramieniem czerwony płaszcz daleko od siebie, a prawe gotuje do zadania ciosu. Wtém nagle z szybkością błyskawicy, by jaki złom gwałtowny roztrzaskanéj skały, runie byk na swego wroga; ale w téjże chwili gdy myślisz, że swym napadem stratował na miazgę *matadora,* lub go rogami w powietrze wyrzucił, ledwie raz ryknąwszy, pada tuż u nóg jego od silnego i rozmyślonego pchnięcia, *matador* i kroku mu nie ustąpił; bo jeżli cios pójdzie jak powinien, wprost między łopatki i głęboko sięgnie, to przeszyje serce a źwiérzę w mgnieniu oka pada martwe. Niezmierny, głuszący okrzyk radości, grzmot trąb i kotłów wita zwycięzcę, który z godną i spokojną powagą obtarłszy płaszczem zakrwawioną broń, zwraca swój ukłon do balkonu królewskiego, a często i ku swojéj damie. Wnet sprowadzają zaprzęż sześciu mułów bogato ubranych, i dzwónkami poobwiészanych, mocują sznur do rogów byka i wywożą go w największym pędzie za szranki.

Taki jest zwykły koniec walki. Czasem i byk bywa zwycięzcą, ale natychmiast dostaje nowego, szczęśliwszego i rozważniejszego przeciwnika, jeżeli jeszcze przez rany do dalszéj walki jest zdatnym. Zresztą niebezpieczeństwo dla *matadora* nie jest tak wielkie, jakby to sobie nieświadomy rzeczy wyobrażał, ponieważ byk kieruje swoję wściekłość nie na *matadora*, lecz na sukno czerwone, a wreszcie spuszczając łeb dla użycia rogów, przymyka wtedy oczy. Wszystko więc od tego zawisło, aby *matador* upatrzył tę chwilę, kiedy źwiérz łeb spuszczając, rozszérza łopatki, i użył jéj do pewnego i silnego pchnięcia. Spokojny, nieustraszony umysł i rozwaga, wszystko tu stanowią. Straci *matador* na jednę chwilę przytomność, zginie bez ratunku, a to tém pewniéj, jeżeli jeszcze zwiérza tylko w szyję, w łopatkę z boku, lub téż w grzbiet zrani, wtenczas chociażby byk najcięźéj był raniony, zwróci się z nadzwyczajną szybkością, pochwyci lewym rogiem *matadora* pod ziobro, i rzuci nim w powietrze. Wiele téż zależy od oddalenia od siebie płaszcza, na który się byk najprzód zapędza. Zawielkie oddalenie utrudza pewność ciosu, zablizkie jest równie niebezpieczne, bo byk może *matadora* szarpnąć rogami, zwłaszcza, jeżeli ma długie i w bok odstające rogi; takich téż mają za najstraszliwszych. Rozwaga i zręczność *matadora* najchlubniéj wtedy się okazuje, jeżeli jest ten wypadek, że niéma sposobnéj chwili do pchnięcia. W tym razie wznosi ramię i płaszcz do góry a sam lekkiém na bok usunięciem się, przepuści biegącego byka. Co się kilka-krotnie zdarzyć może, a gdy ślepa zaciekłość byka przy każdém nowem natarciu coraz bardziéj się wzmaga, *matador* wtedy najspokojniéj dotrzymuje swego placu, i chcąc prawdziwych znawców zadowolić, powinien wszystkim poruszeniom swoim nadać wdzięk jakiś, a nawet śród walki nie być bardzo zajętym i tyle znaleźć czasu, by swoim przyjaciołom, a bardziéj przyjaciółkom, mógł jeszcze posłać ręką lub spojrzeniem oznakę swego hołdu albo téż swemu przeciwnikowi jakie uszczypliwe słówko, co tylko wtedy wykonać zdoła, kiedy się byk w swym wściekłym pędzie do natarcia zwraca; ale często i taki się byk zdarzy, który parę razy nadaremno natarłszy, nagle w tył się cofa i boju daléj toczyć nie chce, bądź to ze wstydu, bądź z uporu. Natenczas dla *matadora* jest największe niebezpieczeństwo, bo jeżeli mu co na jego sławie zależy, nie wolno mu w żaden sposób zostawić swego przeciwnika przy życiu. Musi on teraz iść ku źwiérzęciu, które się usuwa, lub stoi w dali z łbem zwiészonym, jakby go cała rzecz nic nie obchodziła, albo téż pilnie baczy na przeciwnika i zuchwale go czeka. Im obojętniéj się stawia, tym jest niebezpieczniéj, bo *matadora* ma zawsze na oku; potrzeba tu nie małéj ostrożności i rozmysłu, inaczéj jednym nagłym skokiem wpada na swego przeciwnika. Dla tego téż stara się *matador* wszelkiémi sposoby przywieść byka do tego, aby się nań rzucił; często się nawet zdarza, że go szpadą wypłazuje, że pogardliwie plwa na niego i do ustąpienia krok za krokiem zmusza, a przecież do zadania ciosu przyjść nie może.—

Niektóre byki istotnie tak dalece tracą odwagę i punkt honoru, że tchórzą niepospolicie i dają się gonić po placu. Jednakże gdy *matador* dowiódł oczewiście, że nie przez swoję winę boju wznowić nie może, lud dla ukończenia nudów, okazuje mu swoje zadowolenie i żąda ukarania podłego tchórza. *Matador* ustępuje z chwałą, a na byka wypuszczają sforę psów zajadłych, i przeciąwszy mu ostrémi klészczy żyły u nóg tylnych, zwalonego o ziemię, wyciągają ze szranków na rzeź zwyczajną. Toż samo się często dzieje na rozkaz królewski, z bykami bardzo dzikiémi i złośliwémi, dla wybawienia z widocznego niebezpieczeństwa jakiego kawalera lub ulubionego *matadora*. Przecież jest to zawsze wielkiém umartwieniem dla zgromadzonych widzów. Jakoż się podobnie stało na téj uroczystości, na któréj obecną byłam.—Niejaki młody hrabia de Fuentes, który nadaremno przez długi czas wyzywał byka różnémi sposoby do walki, usłyszawszy niespodzianie, że król wydał rozkaz do wypuszczenia psów, rzucił szpadę, dobył sztyletu i odważnie ruszywszy na zdumionego byka, jednym silnym razem w kark zadanym, trupem go położył.

Uważają to powszechnie za popis rycerski, który się ledwie w lat kilka przy jakiéj walce wydarzy. Widzowie z początku oniemieli z zadziwienia na chwilę, ale tém huczniejszym i głośniejsyym oklaskiem czyn ten nagrodzili. Mówiono, że król młodzieńcowi za nieposłuszeństwo, nałożył areszt kilku-dniowy, ale jedynie dla tego, aby go późniéj tém świetniéj obdarował. A chociażby król nie miał nań względu, hrabia mógł się wszelako zwać bardzo szczęśliwym, gdyż przez ten czyn pozyskał rękę znakomitéj, bogatéj i pięknéj damy, do któréj nadaremnie przez lat kilka wzdychał. Jak się hiszpańskie panie przy podobnych wypadkach zachowują, sama byłam świadkiem tego. Pewien młody hrabia, nazwiskiem Königsmark, bawiący na dworze hiszpańskim i powszechnie lubiony, walczył konno z bardzo zaciekłym bykiem, który w dzikości swojéj tak niespodzianie nań uderzył, że nietylko szkaradnie rozpruł brzuch koniowi, ale i wraz z jeźdźcem obalił go na ziemię. Na ten widok jedna bardzo piękna i bogato ubrana, niedaleko mnie siedząca dama, skoczyła ku krawędzi balkonu, i dała mu znak chustką, nie bacząc bynajmniéj na jego niebezpieczeństwo, ale tylko przestrzegając go, aby jako cudzoziemiec nie chybił przeciw ustawom walki. Tenże zerwał się co prędzéj z ziemi i pomimo krew obficie uchodzącą, ruszył śmiało na byka, aby z nim odbyć *duelo;* i zadawszy mu w łeb cios śmiertelny, zwrócił się ku owéj damie, powitał ją szpadą i ucałował szarfę jéj barwy. Teraz dopiéro dał się swoim ludziom wynieść za szranki; dama zaś usiadła zaspokojona, posełając w zadowoleniu swojém na wszystkie strony dumne spojrzenia.

Takim sposobem tego dnia legło dwadzieścia byków, ale oraz trzech walczących i kilka koni życiem swojém tę walkę przepłaciło. Jednakże damy i panowie, którzy mię otaczali, nie byli tém widowiskiem zadowoleni i utrzymywali, że gdyby nie pchnięcie waleczne hrabiego Fuentes, cała uroczystość nie miałaby w sobie nic świetnego. Co do mnie bojaźń, strach i litość, miotały mną na przemiany, chociaż się widokiem tak ożywionym i świetnym bardzo zdziwiać musiałam. Zdumi téż zapewne każdego ta zwinność i odwaga walczących, ta wielka wprawa koni, które często przez ćwierć godziny, w odległości ledwie jednego kroku, około byka toczyć i każde jego niebezpieczeństwem grożące poruszenie omijać muszą; zwłaszcza, że byki hiszpańskie nim się jeszcze zupełnie zaciekną, szybkością w biegu i lekkością w obrotach równają prawie jeleniom.—Co zaś mnie podobne widowisko najbardziéj obrzydziło, jest następujące zdarzenie, które mnie Don Fernando de Agnilac, mój Kawalero opowiadał:

W sławnéj w całym Madrycie piękności, w córce majętnego rzeźbiarza, kochał się znakomity, powszechnie lubiony młodzieniec. Właśnie czyniono przygotowanie do wielkiéj walki byków; sławy pragnący młodzian, chciał w niéj mieć udział i prosił swoje kochankę o pozwolenie. Ale jéj prawdziwa, tkliwa miłość, jéj odosobnienie od ludzi i nieznajomość wielkiego świata, były powodem, że mu żadną miarą pozwolić nie chciała, i owszem zakazała mu pod najświętszym obowiązkiem, by się nie ważył na tyle niebezpieczeństw narażać. Lecz on na to nie zważał, przygotowywał potajemnie z największym przepychem wszystko do uroczystości, ubiór, liberyje, konie i t. d. W dzień dopiéro walki, zeznał jéj swoje postanowienie i usilnémi prośby starał się ją nakłonić, aby między widzami obecną była, wprost jéj powiedziawszy, że tylko przed jéj oczyma szczęśliwie walczyć zdoła, a jeźli go w jéj nieobecności jakie nieszczęście spotka, ona sama temu przyczyną będzie. »Twoja miłość«, odrzekła nareszcie, »jest bardziéj popisująca się i chwały chciwa, aniżeli czułą i na mojéj wzajemności przestającą; ja ciebie inacziéj kocham. Ale idź dokąd cię sława woła, a że tego koniecznie wymagasz — więc i ja tam będę.« Kawaler pospieszył na *Plaza major,* gdzie się już wszystko było zgromadziło i zaraz wyparł się na piérwszego lepszego wypuszczonego byka.

Nie długo trwało, a zwierz tak dziko natarł na swego przeciwnika, że ten, może przez częste spoglądanie na miejsce, gdzie się spodziewał ujrzeć swoję kochankę, w grożące popadł niebezpieczeństwo, i byłby już poległ, gdyby w tejże chwili nie był wyskoczył z pomiędzy grona młodych wieśniaków jakiś młodzian, bardziéj z igraszki udział w walce mający, i lekką włocznią nie ranił zwierza, który się teraz z okropną wściekłością na nowego napaśnika zwróciwszy, wszelką mu sposobność ratunku odjął i na ziemię z takim go pędem obalił, że nieszczęśliwemu kapelusz i siatka z głowy spadły, a strumień długich, zadziwiającéj piękności włosów się rozpłynął. Z przerażeniem poznał lud teraz córkę kamieniarza, a jéj kochanek nito łyskawica pobiegł na jéj ratunek, ale za późno, bo jéj rana była śmiertelną. W okropnéj rozpaczy nic mu nie pozostało, jak tylko szukać śmierci, którą też, rzuciwszy się ślepo i zapamiętale na byka, nie długo znalazł. Widowisko zabawy, zamieniło się w obchód pogrzébowy. Umierającego zaniesiono do pomieszkania umierającej kochanki. Na jego prośby wezwano księdza, który ich zaslubił; ledwie się ceremonija święta skończyła, już śmierć złączyła kochanków.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 30. i obejmuje: 1) O skutkach z następstwa roślin, z doświadczenia czerpanych. (Dokończenie). 2) Rzut oka na gospodarstwo tutejszo-krajowe w ogóle, w szczególności zaś o obecném położeniu dzierzawców i ich stosunkach do kraju (Dokończenie). 3) O zimowém utrzymaniu krów. (Ciąg dalszy). 4) Sprawozdanie o targu lwowskim na wełnę. 5) Wiadomości czasowe: *a*) Jak można zapobiegnąć, aby się sadza w kominie nie zajęła. *b*) Jak można mętne i kwaśne piwo znowu naprawić? *c*) Motylica u owiec. *d*) Para z kawy niepalonéj niezawodne lekarstwo na ból oczów. *e*) Kuntschut (*sesam orient — morgenländischer Leindotter.*

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 16. i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Troska, powieść przez A. Gorczyńskiego. 2) Wiérsz do ☼, przez A. Kłobukowskiego. 3) Kilka słów o wiedeńskiej wystawie obrazów, przez Jaworskiego. (Dokończenie). 4) Myśli, przez L. Bobrowską.

Biblijoteka warszawska zawiéra na miesiąc lipiec następujące artykuły: 1) Pielgrzymka do mogiły Aleksandra Grzybojedowa na górę św. Dawida w Tyflisie, przez Leona Janiszewskiego. 2) Wyjątki z historyi rzymskiej, przez Jana Szwajnica. 3) Zabój Sławoj i Ludick, ułamek z poematu czeskiego i dwie prawdy, przez Ludwika Norwida. 4) Ona i ja, przez Kostworowskiego. 5) Brat husarz, gawęda, przez tegoż. 6) Zbiór wiadomości o życiu i pismach Łukasza Górnickiego, przez Trębickiego. 7) O brukach warszawskich i brukowaniu w ogólności, przez Kolberga. 8) O turach i żubrach, przez Wagę. 9) Bitwa pod Kirholmem, obrazek z czasów Zygmunta III. przez Kosińskiego. 10 Kronika literacka 11) Rozmaitości.

Pierwiastki angielskiego języka. Według obliczenia, które pewien badacz języka angielskiego niedawno uczynił, ma tenże język pierwiastków: 6,621 z łacińskiej, 4,361 z francuzkiéj, 2,060 z anglo-saksońskiéj, 660 z greckiej, 229 z włoskiej, 117 z niemieckiéj, 111 z walońskiéj, 83 z hiszpańskiéj, 81 z duńskiéj a 18 z arabskiéj mowy, które, jak rzecz naturalna, zastosowane do ducha angielskiego języka, podlegają różnéj zmianie i z których idą słowa pochodne. Niektóre słowa wzięte są oprócz tego z mowy gockiéj, hebrejskiéj, szwedzkiej, portugalskiej, flamandzkiej, kartageńskiéj, egipskiej, perskiéj, cymbryjskiéj, teutońskiéj i chińskiéj. Dziwna to zaiste mieszanina, ale to dziwniejsza, że język ten te różnorodne pierwiastki zlał w jedną rodzimą całość, i że naród angielski szczyci się niemal najpiękniejszą i najbogatszą literaturą w Europie.

Dészcz w niektórych okolicach ziemi pada w jednym i tym samym czasie (peryjodycznie), w innych znowu stronach we wszystkich porach roku, przy niebardzo nizkiéj temperaturze. Peryjodyczne deszcze są wszystkim prawie krajom podzwrotnikowym właściwe. One padają w owéj porze, kiedy słońce najwyżéj stoi, a ponieważ słońce dwa razy do roku dochodzi do punktu kulminacyjnego, przeto w owych stronach, gdzie kulminacyja nie przypada zbyt blizko przy sobie, mogą zajść dwie deszczowe pory. Najwięcéj krajów podzwrotnikowych ma tylko jednę, lub téż jednę główną a drugą małą porę dészczową. Po kilku miesiącach, kiedy niebo czyste, a jeden dzień jak drugi pogodny, dają się na małą chwilę przed zachodem słońca postrzegać lekkie chmury na widnokręgu. Te chmury ukazują się z każdym dniem coraz widoczniéj, wzbijają się coraz wyżéj, rozwidniają się od czasu do czasu błyskawicami, aż nareszcie spadają kroplistą ulewą, która od téj chwili trwa codziennie przez kilka miesięcy, aż w końcu sama pomału ustaje. Dészcze te padają zwykle po południu o jednéj i téj saméj godzinie, do czego się też mieszkańcy owych krajów w swoich zatrudnieniach stosują. — Jednakże są w téj mierze niektóre zmiany miejscowe. Podczas gdy w kraju nad Maranhonem dészcz przez dziesięć miesięcy pada, a przez dwa miesięcy panuje posucha, są znowu okolice, które dészcz dopiero po kilku latach nawiédza i gdzie tylko rosa nocna zwilża rośliny. Deszczów mżących nie znają kraje podzwrotnikowe. W czasie pory suchéj, niebo jest tak pogodne, że w niektórych okolicach Ameryki, nie tyle zadziwia trzęsienie ziemi, jak chmura na widnokręgu.

Pałac żelazny. Zdaje się, że przemysłowa Anglija zaopatrzy środkową Afrykę pałacami. I tak niedawno można było w Londynie oglądać pałac z żelaznych belek i słupów na podwalinach dębowych, przeznaczony dla krola Cyambo, pana na starym Calabarze. Budynek ten ma dwa piętra i tak zwaną attikę; piérwsze piętro ma główną salę 40 stóp długą, a 14 szeroką, i cztéry pokoje, każden na 15 stóp szeroki i 15 długi, a wszystkie pokoje mają 10 stóp wysokości. Drugie piętro zawiera wielką salę posłuchalną o 13 oknach, 50 stóp długą, 30 szeroką. Attika jestto przestronna sala rozciągająca się po nad całym gmachem. Posadzka sali posłuchalnej najkosztowniéj zrobiona, a ściany drogiémi obiciami papiérowémi przyozdobione. Skoro pałac ten przywiezionym zostanie na miejsce przeznaczenia, ustawi się w ten sposób, że o 7 stóp nad ziemią spoczywać będzie na palach z twardego drzewa, a te dolne pokoje obrócone będą poczęści na skład rzeczy, poczęści zaś będą przeznaczone dla służby. Cały budynek podobny bardziéj do pałacu, niż do letniéj wili, opasywać będzie galeryja z balkonami, zewnątrz zaś dla ochrony od słonecznych promieni, cały pałac będzie obciągnięty farbą kamienną. P. Laycock, kupiec żelaza i fabrykant tego pałacu, kazał sobie 1400 funtów szterlingów zapłacić.

Statystyka zbrodniarzy we Francyi. Według urzędowego wykazu ministra sprawiedliwości, było w roku 1841 przed sądem assysów 5,528 spraw kryminalnych, w których 10,612 zbrodniarzy udział miało. W r. 1840 było o 476 wypadków kryminalnych więcej niż w roku 1841, mniéj zaś niż w latach 1837, 1838 i 1839. W departamencie Sekwany liczba zbrodni jest, jak zawsze największa, przypada bowiem na 1434 mieszkańców jedna zbrodnia; potém następuje Korsyka, gdzie na 1909 ludzi jedna przypada zbrodnia, daléj idzie koléj na departament przy ujściu Rony, na departament wschodnich Pirenejów, dolnego Renu i t. d. W departamencie Ain, bywa najmniéj wypadków zbrodniczych, bo na 14,228 ludzi tylko jeden, a więc dziesiąta część tych zbrodni, które się pod wpływem powietrza w Paryżu, tego wtórego Babilonu zdarzają.

Może jeszcze kto o tém nie wié. Margrabia Worcester siedząc w Towerze jako więzień stanu, uważał pewnego dnia, że gdy mu obiad gotowano, pokrywka naczynia parta siłą prężnéj pary, w komin wyleciała. To nawiodło go na różne myśli, które złożył acz w ciemnych wyrazach w dziele swojém: *Sto nowych wynalazków.* Inni po nim głębiéj tę rzecz ujęli, i tak, to zabawne na pozór postrzeżenie, stało się twórcą największéj siły mechanicznéj.

Korale. Ozdoby wyrabiane z korali mają znowu wielki pokup, teraz głównem targowiskiem na nie, nie jest już ziemia włoska, ale Marsylija. Około dwa tysiące ludzi trudni się połowem korali. Dawniéj obrabiali korale najpiękniéj we Włoszech, mianowicie w Neapolu, dziś prześcigają marsylijscy mieszkańcy włoskich, a Marsylija zaopatruje koralowémi ozdobami Lahorę, Brazylije, ziemię nad Senegalem, Guineę, Nowy Jork, Nowy Orlean, Mexyk, Cayenne, Levante, a po większéj części i Niemcy. Na ostatniéj wystawie sztuk pięknych w Paryżu, ściągały powszechne podziwienie marsylijskie roboty z korali, szczególniéj figury szachowe wyobrażające wojska Krzyżowców i Saracenów w wartości 10,000 franków. W zeszłym roku sprzedano w Marsylii korali za 6 milijonów.

Sprzężaj z orłów. Pewien właściciel w Charonne niedaleko Paryża, powziął myśl szczególną. Chce on do balonu wprzęgać orły, i pochlebia sobie, że niémi wedle woli kierować będzie. Ptaki te kupił jeszcze pisklętami, ułaskawił i ułożył je do swego zamiaru, i zapewnia, że one lejcami kiérować się dadzą. Próba ma się odbyć niebawem na polu marsowém w Paryżu.

Kozak 118 lat mający. Obecnie żyje w Kercz asawuła Kozaków zaporozkich Sawicz, urodzony w r. 1725 w Starym Mirgorodzie. W 18tym roku wstąpił w służbę wojskową, walczył całą siedmio-letną wojnę. Wróciwszy do domu, kilkakrotnie ciągnął z Zaporożcami pod Oczaków, wyszczególnił się przy wzięciu téj fortecy przez Potemkina w r. 1784, miał udział w zdobyciu Izmaiłowa pod komendą Suwarowa, dostał się potém w niewolę turecką, i był w niéj przez lat 18. Dopiéro za wstawieniem się rossyjskiego posła w Konstantynopolu, puszczono go na wolność, a w r. 1810 wrócił do swojéj ojczyzny. Szlachetny książę Richelieu, wyznaczył mu z swojéj kieszeni 300 rubli rocznéj pensyi, którą utracił za oddaleniem się tegoż księcia z Rossyi. Wtedy przeniósł się z Chersonu do Kercz, gdzie dotąd żyje z dobroczynności ludzi. W nagrodę męztwa przy wzięciu szturmem Oczakowa, posunięto go na stopień asawuły i dano mu order świętego Włodzimierza czwartéj klasy.

Zemsta Turka. Z Saloniki donoszą publiczne pisma o następującym nadzwyczajnym wypadku, który się w Larissie w miesiącu kwietniu wydarzył. Ali Zuka, były bula-basza, naczelnik straży policyjnéj, blizko 70-letni starzec, popadł w niełaskę kihaja-beja z Larissy, który się o jego wydalenie ze służby postarał. Opuściwszy tenże swoję posadę, wziął w dzierzawę jakąś część dziesięciny krajowéj, ale z sumy dzierzawnéj pozostał winien 1000 piastrów. Kihaja-bej kazał go wezwać przed siebie i zaczął łżyć słowami, a gdy Ali go błagał, aby przynajmniéj jego honor i włos siwy miał w poszanowaniu, spłonąwszy gniewem nazwał Ali Zuka bezczelnym, starym oszustem. Ali stłumił bolesne oburzenie swoje i oddalił się. Wróciwszy do domu, obdarzył wolnością dwie niewolnice i rozporządził całym majątkiem. Sam zaś dosiada nazajutrz konia, przypasuje do boku pałasz, wtyka za pas dwie par pistoletów i z strzelbą o dwóch lufach w ręku, udaje się na drogę, którą kihaja-bej do rządowego pałacu zwykle powraca. Niebawem nadjeżdza tenże z licznym pocztem dworzan, a ujrzawszy zbrojnego na koniu Albańczyka, blednie z przestrachu, lecz aby ukryć trwogę, pozdrawia go i uśmiecha się doń uprzejmie. Stary Albańczyk dojéżdza bliżéj, a wymówiwszy dzikim głosem te słowa: »Zhańbiłeś mój honor, chciałeś pieniędzy, oto je masz«, ścieli trupem swego przeciwnika, a gdy tenże daje jeszcze oznaki życia, drugim wystrzałem kończy jego męczarnie. Na ten widok zapala się zemstą służba beja, daje natychmiast ognia do zabójcy swego pana, lecz Ali Zuka żadną nie draśnięty kulą, oddala się zwolna, wołając do ścigających dworzan: »Precz odemnie dzieci, nie z wami mnie sprawa.« Lecz gdy dworzanie nie ustają go ścigać i ognia dawać, stary zapaśnik obraca nagle konia, czterech kładzie trupem wystrzałami z pistoletów, a trzech rani pałaszem śmiertelnie. Wtéjże chwili nadciąga oddział wojska baszy. Stary Ali Zuka miał tyle czasu, że broń nabił, nie zatrwożony przemagającą siłą, śród gradu kul nderza śmiało na nieprzyjaciół, pali z strzelby, daje ognia z pistoletów, pałaszem w ręku siecze w około siebie i pędzi pierzchające żołdactwo aż w bramy pałacowe, które zewnątrz zamyka, potém udaje się na wieś do swego pomieszkania, czworo-kątny kształt wieży mającego, i gotuje się do odporu. W kilka godzin nadchodzi oddział wojska i bierze go w oblężenie. Stary Turek postanawia zajrzéć w oczy nieprzyjacielowi i dać mu drogo okupić śmierć swoję, przeto wyjéżdza naprzeciw i rzuca się do walki, lecz gdy koń pod nim pada, chroni się do wieży, zatarasowuje wnijście, i chce dom z dymem puścić i pod gruzami śmierć znaléźć. Ali Bej, dowódca wojska zebranego przed wieżą, widzi okropny zamiar starca, posyła parlamentarza, nareszcie udaje się mu skłonić zapamiętałego Turka do poddania się, pod warunkiem, iż go stawić będzie przed Omerą baszy w Salonice, pomijając niższe urzędy w Larissie. Ali Zuka znajduje się teraz w pałacu baszy w Salonice i oczekuje wyroku z Stambułu.

Więźniowie śpiéwakami. W dzienniku wychodzącym w St. Gallen czytamy, co następuje: »Założona w naszém więzieniu dla uszlachetnienia więźniów płci męzkiéj szkoła śpiéwu, piękne wydaje owoce. Nie jednę ubogą operę moglibyśmy uposażyć, mamy bowiem 25 basistów i 5 tenorzystów. Niedawno uciekł nam tenorzysta, który z największą łatwością śpiéwa wysokie *A.*, a zapewne teraz w któréjś części świata ze szkodą naszego konserwatoryjum zbiéra wieńce chwały.«— Że go u nas nié ma, zaręczyć możemy.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Kraltera.
Drukiem Piotra Pillera.